

KEN
FOLLETT

CZŁOWIEK Z SANKT
PETERSBURGA



Walden uwielbiał takie leniwe, niedzielne popołudnia. Stał przy otwartym oknie i spoglądał na park. Na rozległym, płaskim trawniku rosły dwa potężne dęby, szkocka sosna, kilka kasztanów i wierzba przypominająca dziewczęcą głowę z rozpuszczonymi włosami. Słońce stało wysoko, dorodne drzewa rzucały ciemny, chłodny cień. Ptaki umilkły, tylko z kwitnącego przy oknie powoju dochodziło buczenie sytych pszczół. W domu również panowała cisza. Większość służby miała wolne popołudnie. Jedynymi gośćmi tego weekendu byli brat Waldena George, jego żona Clarissa i ich dzieci. George poszedł na spacer, Clarissa położyła się, a dzieci były gdzieś poza zasięgiem wzroku. Walden odprężył się. W nabożeństwie uczestniczył oczywiście w surducie, a za godzinę lub dwie miał przebrać się do obiadu we frak i biały krawat, tymczasem jednak świetnie czuł się w tweedowym garniturze i koszuli z miękkim kołnierzykiem. Jeśli tylko Lidia zagra dziś wieczorem na fortepianie, pomyślał, to będzie naprawdę wspaniały dzień.

Obrócił się ku żonie.

— Zagrasz po obiedzie?

— Jeśli tylko sobie tego życzysz — odparła z uśmiechem.

Walden usłyszał hałas i znowu wyrzwał przez okno. U szczytu alei, w odległości kilkuset metrów, zobaczył automobil. Ogarnęła go irytacja, podobna do doskwierającego mu przed burzą, złośliwego klucia w prawej nodze. Dlaczego przejmuję się automobilem? — pomyślał. Nie miał nic przeciwko automobilem — sam posiadał lanchestera i używał go regularnie, jeżdżąc do Londynu — latem jednak stanowiły one dla mieszkańców wioski prawdziwą udękę, pędziły bowiem z rykiem, wznecając tumany kurzu. Od jakiegoś czasu Walden nosił się z zamiarem wyasfaltowania paruset metrów drogi. Normalnie nie wahałby się ani chwili, ale od roku 1909, kiedy Lloyd George powołał Zarząd Dróg, sprawa ta nie należała już do jego kompetencji. To właśnie, uświadomił sobie, było powodem jego irytacji. Typowy przykład stanowienia prawa przez liberałów: biorą od człowieka pieniądze, żeby wykonać coś, co równie dobrze zrobiłby sam, a następnie siedzą z założonymi rękami. Przypuszczam, że w końcu sam wyasfaltuję tę drogę, pomyślał, denerwujący jest tylko fakt, że dwa razy trzeba będzie płacić za to samo.

Automobil skręcił na wysypyany żwirem podjazd. Klekocąc i hałasując, zatrzymał się naprzeciwko wejścia południowego. Spaliny z rury wydechowej doleciały aż do okna i Walden wstrzymał na chwilę oddech. Kierowca, ubrany w kask, gogle i ciężki płaszcz do jazdy, otworzył drzwi przed pasażerem. Z automobilu wysiadł niski mężczyzna w czarnym płaszczu i czarnym filcowym kapeluszu. Walden poznał go i zamarło mu serce: spokojne letnie popołudnie dobiegło końca.

— To Winston Churchill — powiedział.

— Jakież to krępujące — zachnęła się Lidia.

Ten człowiek po prostu nie daje się splawić. W czwartek wysłał liścik, który Walden zwyczajnie zignorował. W piątek zadzwonił do londyńskiego domu Waldena, gdzie poinformowano go, że earla nie ma w domu. A teraz, w niedzielę, przebył długą drogę aż do Norfolk. Zostanie ponownie od-

prawiony. Czy wyobraża sobie, że jego upór wyrze na kimś wrażenie? — pytał sam siebie Walden.

Nie lubił być niegrzeczny, ale ten człowiek w pełni na to zasługiwał. Rząd liberalów, w którym Churchill pełnił funkcję ministra, w sposób haniebnym wystąpił przeciwko fundamentom angielskiego społeczeństwa, opodatkowując wielką własność ziemską, osłabiając znaczenie Izby Lordów, usiłując oddać Irlandię w ręce katolików, przetrzebając Królewską Marynarkę Wojenną i ustępując przed szantażem związków zawodowych i przeklętych socjalistów. Nie, Walden i jego przyjaciele nigdy nie uścisną ręki ludziom takiego pokroju.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Pritchard, wysoki mężczyzna o nasmarowanych brylantyną czarnych włosach. Wywodził się z londyńskiego przedmieścia i mało kogo mógł oszukać dostojną miną, jaką przybierał na użytek gości. Jako młody chłopak uciekł na morze i zszedł ze statku we wschodniej Afryce. Walden, przebywający tam wówczas na safari, wynajął go do pilnowania miejscowych tragarzy. Od tej pory stali się nierozłączni. Obecnie Pritchard był u Waldena majordomusem i towarzyszył mu zarówno w domu w Londynie, jak i w rezydencji na wsi. Byli przyjaciółmi, oczywiście na tyle, na ile pan może się przyjaźnić ze sługą.

— Przybył Pierwszy Lord Admiralicji, milordzie — oznajmił Pritchard.

— Nie ma mnie w domu — odparł Walden.

Pritchard wydawał się lekko zakłopotany. Nie przywykł do wyrzucania za drzwi członków gabinetu. Lokaj mojego ojca poradziłby sobie z tym bez zmruczenia oka, pomyślał Walden; staremu Thomsonowi pozwolono jednak łaskawie odejść na emeryturę i hodował teraz róże w ogródku przy swoim domu we wsi. Pritchard nie mógł sobie jakoś przyswoić jego niewzruszonego dostojenstwa.

Pritchard zaczął połykać spółgłoski, co było oznaką, że albo jest bardzo rozluźniony, albo bardzo spięty.

— Pan Churchill poedział, że pan, milordzie, powie, że nie ma pana w domu. I poedział, żeby oddać panu ten list. —
Podał na tacy kopertę. Walden nie znosił ludzi nachalnych.

— Oddaj mu go — powiedział zdenerwowany.

Nagle zatrzymał się i przyjrzał ponownie charakterowi pisma na kopercie. Było coś znajomego w tych dużych, wyraźnych, lekko pochyłych literach.

— O, mój Boże — wyszeptał.

Wziął kopertę, otworzył ją i wyjął pojedynczą, złożoną na pół kartkę grubego białego papieru. Na górze widniała czerwona pieczęć królewska. Walden przeczytał:

Pałac Buckingham, 1 maja 1914 roku

Mój drogi Waldenie

Przyjmij młodego Winstona.

Jerzy R. V.

— To od króla — poinformował Lidię.

Był tak zażenowany, że aż się zaczerwienił. Wciągać króla w coś takiego było po prostu straszliwym nietaktem. Czuł się jak uczeń, którego wytargano za uszy i kazano zająć się lekcjami. Przez moment kuśiło go, żeby odmówić królowi. Ale konsekwencje... Lidii nie przyjęto by już więcej u królowej, ludziom nie byłoby wolno zapraszać Waldenów na przyjęcia, na których mogliby być obecni członkowie rodziny panującej i — co najgorsze ze wszystkiego — córka Waldena, Charlotte, nie zostałaby przedstawiona na dworze. Życie towarzyskie całej rodziny ległoby w gruzach. Równie dobrze mogliby się spakować i wyjechać do innego kraju. Nie, nie sposób było sprzeciwić się woli króla.

Walden westchnął. Churchill pokonał go. Przyjął to poniekąd z ulgą: teraz mógł wyłamać się z szeregu i nikt nie powinien mieć mu tego za złe. *List od króla, staruszku*, mógł się usprawiedliwiać, *nic się nie dało zrobić, sam rozumiesz*.

— Poproś tutaj pana Churchilla — powiedział do Pritcharda.

Podał list Lidii. Liberałowie naprawdę nie mają pojęcia, jak powinna funkcjonować monarchia.

— Król jest po prostu za mało stanowczy w stosunku do tych ludzi — mruknął.

— To staje się okropnie nudne — zauważyła Lidia.

Nie jest ani trochę znudzona, pomyślał Walden. W rzeczywistości uważa pewnie tę sytuację za rzecz całkiem ekscytującą; powiedziała tak, bo tak właśnie wyraziłaby się angielska dama, a ponieważ nie była Angielką, lecz Rosjanką, lubiła mówić w sposób typowy dla Anglików, podobnie jak ktoś, kto świeżo nauczył się francuskiego, będzie wszędzie wtrącał *hein?* i *alors*.

Walden podszedł do okna. Automobil Churchilla wciąż warczał i dymił na podjeździe. Kierowca stał przy nim, jedną ręką przytrzymując drzwi, jakby miał do czynienia z koniem, który w każdej chwili może się wyrwać i pognać na pastwisko. Kilku służących przyglądało się maszynie z bezpiecznej odległości.

Pritchard wszedł i zapowiedział:

— Pan Winston Churchill.

Churchill miał czterdzieści lat, dokładnie dziesięć mniej niż Walden. Był niskim, szczupłym mężczyzną, ubranym, według earla, nieco zbyt elegancko jak na prawdziwego dżentelmena. W szybkim tempie przerzedzały mu się włosy — została mu tylko kępka na czubku głowy i dwa loki na skroniach, co w połączeniu z krótkim nosem i nieustannym ironicznym błyskiem w oku, nadawało mu złośliwy wygląd. Nietrudno było zrozumieć, dlaczego karykaturzyści regularnie przedstawiali go w postaci podstępnego cheruba.

— Dzień dobry, lordzie Walden — powiedział wesoło Churchill, ściskając mu rękę. Ukłonił się Lidii. — Lady Walden, witam panią.

Co jest takiego w tym człowieku, że gra mi na nerwach? — zastanawiał się Walden. Poprosił go, żeby usiadł, a Lidia

zapropnowała herbatę. Nie wszczywał luźnej pogawędki; chciał szybko dowiedzieć się, o co ten cały hałas.

— Przede wszystkim chciałbym, również w imieniu króla, przeprosić pana za najście — zaczął Churchill.

Walden kiwnął głową. Nie miał zamiaru ułatwiać tamtemu sytuacji, twierdząc, że nic się nie stało.

— Chciałbym dodać, że nigdy bym się do czegoś takiego nie posunął, gdyby nie sprawy najwyższej wagi państwowej.

— Lepiej niech mi je pan przedstawi.

— Czy wie pan, co dzieje się na rynku finansowym?

— Owszem. Podniosła się stopa dyskontowa.

— Z jednego i trzech czwartych do prawie trzech procent. Jest to olbrzymi wzrost i nastąpił w ciągu kilku ostatnich tygodni.

— Spodziewam się, że pan wie dlaczego.

Churchill skinął głową.

— Firmy niemieckie zadłużają się na wielką skalę, wycofując gotówkę i kupując złoto. Jeszcze kilka tygodni i Niemcy, kosztem innych krajów, ściągną do siebie wszystko. Będą mieli niespłacone długi i rezerwy złota wyższe niż kiedykolwiek w ich historii.

— Przygotowują się do wojny.

— W ten i na szereg innych sposobów. Podnieśli podatki o miliard marek w stosunku do ich poprzedniej wysokości, aby wzmocnić armię, która i tak jest już najsilniejsza w Europie. Pamiętaj pan, że kiedy w roku tysiąc dziewięćset dziewięć Lloyd George podniósł brytyjskie podatki o piętnaście milionów funtów szterlingów, o mało nie doprowadziło to do rewolucji. Cóż, miliard marek stanowi w przybliżeniu równowartość pięćdziesięciu milionów funtów. To najwyższe podatki w historii Europy.

— Tak, rzeczywiście — przerwał Walden. Obawiał się, że Churchill znowu zacznie swoje oratorskie popisy. Nie życzył sobie, żeby tamten wygłaszał przed nim mowę. — My, kon-

serwatyci, od dłuższego już czasu zaniepokojeni byliśmy rozwojem niemieckiego militarizmu. Teraz, za pięć dwunasta, oznajmia mi pan, że mieliśmy rację.

Churchill nie dał się zbić z tropu.

— Niemcy zaatakują Francję, to prawie pewne. Pytanie brzmi: czy przyjdziemy Francji z pomocą?

— Ależ skąd — odparł ze zdumieniem Walden. — Minister spraw zagranicznych zapewnił nas przecież, że nie mamy żadnych zobowiązań wobec Francji...

— Sir Edward, oczywiście, uczynił to ze szczerego przekonania — przytaknął Churchill. — Ale był w błędzie. Nasze porozumienie z Paryżem jest tego rodzaju, że nie możemy stać z boku i patrzeć, jak Francja pada w walce z Niemcami.

Walden był wstrząśnięty. Liberałom udało się przekonać wszystkich, jego nie wykluczając, że nie wciągną Anglii do wojny; a teraz jeden z ich najważniejszych ministrów twierdzi coś wprost przeciwnego. Dwulicowość polityków może doprowadzić do szaleń, ale Walden rychło o niej zapomniał, kiedy zaczął zastanawiać się, jakie konsekwencje pociągnie za sobą ta wojna. Myślał o znanych mu młodych ludziach, którzy będą musieli pójść na front: o niemrawych, opiekujących się jego parkiem ogrodnikach, o bezczelnych, kręcących się po jego domu lokajach, o ogorzałych na twarzy parobkach z folwarku, o niesfornych studentach, o próżniakach zabijających czas w klubach przy St. James's... a potem ta myśl odpłynęła, ustępując miejsca następnej, o wiele bardziej przygnębiającej.

— Czy jesteśmy w ogóle w stanie wygrać tę wojnę? — zapytał.

Churchill przybrał poważną minę.

— Sądzę, że nie.

Walden wlepił w niego oczy.

— Na miły Bóg, coście najlepszego narobili?

— W naszej polityce kierowaliśmy się zawsze chęcią uniknięcia wojny — zaczął się bronić Churchill — a nie można prowadzić takiej polityki i równocześnie zbroić się po zęby.

— Ale nie udało wam się uniknąć wojny.

— Wciąż się o to staramy.

— Ale sądzicie, że to się wam nie uda.

Wydawało się, że Churchill chce się sprzeciwić, ale przełknął tylko ślinę.

— Niestety tak.

— Więc co teraz będzie?

— W sytuacji, kiedy Anglia i Francja nie są w stanie pokonać Niemiec wspólnymi siłami, musimy mieć jeszcze jednego sojusznika: trzecie państwo, które znajdzie się po naszej stronie. Tym państwem jest Rosja. Kiedy Niemcy podzielą swoje siły i zmuszeni będą walczyć na dwa fronty, wówczas możemy wygrać. Armia rosyjska jest nieudolna i skorumpowana, jak wszystko inne w tym kraju, ale nie gra to żadnej roli, dopóki jest w stanie ściągnąć na siebie część sił niemieckich.

Churchill doskonale wiedział, że Lidia jest Rosjanką. Lekceważące mówienie o Rosji w jej obecności świadczyło o typowym dla niego braku taktu, ale Walden puścił mu to płazem, tak był zaintrygowany tym, co usłyszał.

— Rosja zawarła przecież przymierze z Francją — powiedział.

— To nie wystarczy — odparł Churchill. — Rozstrzygnięcie, czy Francja jest ofiarą agresji, czy agresorem, pozostawia się w każdym przypadku Rosji. Kiedy wybucha wojna, każda ze stron twierdzi na ogół, że została napadnięta. Dlatego to przymierze zobowiązuje Rosję do walki wyłącznie wtedy, kiedy ta ma na to ochotę. Do niczego więcej. Chcemy, żeby Rosja na nowo i stanowczo opowiedziała się po naszej stronie.

— Nie mogę sobie was wyobrazić, jak wymieniacie uścisk dłoni z carem.

— W takim razie, wcale nas pan nie zna. Żeby ocalić Anglię, gotowi jesteśmy paktować z samym diabłem.

— Nie spodoba się to waszym zwolennikom.

— Nie będą o niczym wiedzieli.

Walden domyślał się, do czego to wszystko prowadzi. Perspektywa była ekscytująca.

— Co pan ma na myśli? Tajny traktat? Czy niepisane porozumienie?

— Jedno i drugie.

Walden przyjrzał się Churchillowi przez zmrużone powieki. Ten młody demagog ma rozum nie od parady, pomyślał, i może go wykorzystać przeciwko mnie. A zatem liberałowie pragną zawrzeć tajny traktat z carem — nie bacząc na nienawiść, jaką naród angielski żywi do brutalnego, panującego w Rosji reżimu — ale dlaczego zdradzają mi swoje zamysły? Chcą mnie jakoś związać z tą sprawą, to jasne. W jakim celu? Po to, żeby jeżeli coś się nie powiedzie, mieć pod ręką kozła ofiarnego, konserwatystę na dodatek? Żeby zwabić mnie w taką pułapkę, potrzebny byłby intrygant bardziej subtelny niż Churchill.

— Proszę dalej — powiedział.

— Rozpocząłem z Rosjanami rozmowy na temat marynarki wojennej, przy okazji naszych wojskowych negocjacji z Francją. Przez jakiś czas uczestniczyli w nich urzędnicy dość niskiej rangi, teraz jednak rokowania nabierają rumieńców. Do Londynu ma przybyć młody rosyjski admirał. To książę Aleksy Andriejewicz Orłow.

— Aleks! — krzyknęła cicho Lidia.

Churchill rzucił jej spojrzenie.

— Zdaje się, że to pani krewny, lady Walden.

— Tak — przyznała Lidia. Coś, o czym Walden nie miał najmniejszego pojęcia, najwyraźniej wytrąciło ją z równowagi. — Jest synem mojej starszej siostry, co oznacza, że jest moim... kuzynem?

— Siostrzeńcem — odpowiedział Walden.

— Nie wiedziałam, że został admirałem — mówiła dalej. — Musieli go niedawno mianować.

Wydawała się teraz jak zwykle doskonale opanowana i Walden nie wiedział, czy nie przyśniło mu się to, czego świadkiem

był przed chwilą. Rad był, że Aleks przyjeżdża do Londynu: bardzo lubił tego chłopaka.

— Jest młody jak na tak wysoką szarżę — stwierdziła Lidia.

— Ma trzydzieści lat — odparł Churchill i Walden uświadomił sobie, że czterdziestoletni Churchill jest również bardzo młody jak na funkcję, dającą mu władzę nad całą Królewską Marynarką Wojenną. Pierwszy Lord wydał dumnie wargi, jakby chciał powiedzieć: „Świat należy do genialnych młodych ludzi, takich jak ja i Orłow”.

A jednak i mnie do czegoś potrzebujecie, pomyślał Walden.

— Ponadto — kontynuował Churchill — Orłow jest przez swego ojca, nieżyjącego już księcia, siostrzeńcem samego cara i, co jeszcze ważniejsze, jednym z niewielu ludzi spoza kręgu Rasputina, których car lubi i których obdarza zaufaniem. Jeżeli w dowództwie rosyjskiej marynarki wojennej jest ktoś, kto potrafi przeciągnąć cara na naszą stronę, to tą osobą jest Orłow.

— A mój udział w tym wszystkim? — Walden zadał pytanie, które cały czas chodziło mu po głowie.

— Chcę, żeby reprezentował pan Anglię podczas tych rozmów... i chcę, żeby przyniósł mi pan Rosję na talerzu.

Ten facet nigdy nie może się oprzeć pokusie, żeby nie zachowywać się jak w tanim melodramacie, pomyślał Walden.

— Chce pan, abyśmy razem z Alekssem wynegocjowali angielsko-rosyjski traktat wojskowy?

— Tak.

Walden natychmiast pojął, jak trudne, śmiałe i obiecujące byłoby to zadanie. Stłumił ogarniające go podniecenie i pokusę, aby wstać i przejść się po pokoju.

— Zna pan osobiście cara — mówił Churchill. — Zna pan Rosję i mówi pan płynnie po rosyjsku. Jako mąż lady Walden jest pan wujem Orłowa. Już raz przedtem skłonił pan cara do opowiedzenia się po stronie Anglii przeciw Niemcom, w roku tysiąc dziewięćset szóstym, kiedy pańska interwencja zapobiegła ratyfikacji traktatu z Bjorko. — Churchill przerwał. — Mimo to początkowo nie braliśmy pod uwagę pańskiej kandydatury

jako naszego reprezentanta w tych negocjacjach. W Westminsterze sprawy mają się w ten sposób...

— Tak, tak — Walden nie chciał rozpoczynać dyskusji na ten temat. — Jednak coś spowodowało, że zmieniliście zdanie.

— Istota sprawy polega na tym, że pańską kandydaturę wysunął car. Wygląda na to, że jest pan jedynym Anglikiem, do którego ma jakiegokolwiek zaufanie. Wysłał telegram do swego kuzyna, a naszego króla, domagając się, żeby Orłow prowadził rozmowy właśnie z panem.

Walden mógł sobie wyobrazić konsternację, jaka zapanowała wśród radykałów, kiedy dowiedzieli się, że będą musieli dopuścić do swoich tajnych kombinacji starego, zasiadającego w Izbie Lordów konserwatystę.

— Sądzę, że wpadliście w tym momencie w przerażenie — powiedział.

— Niezupełnie. W sprawach zagranicznych nasza polityka nie różni się tak bardzo od waszej. Poza tym zawsze uważałem, że nasze wewnętrzne polityczne nieporozumienia nie powinny stać na przeszkodzie, aby pańskie talenty wykorzystane zostały w służbie rządu Jego Królewskiej Mości.

Teraz pochlebstwa, pomyślał Walden. Muszę być im bardzo potrzebny.

— Jak uda się to wszystko utrzymać w tajemnicy? — zapytał głośno.

— Ma to wyglądać na zwykłą towarzyską wizytę. Jeśli się pan zgodzi, Orłow będzie państwa gościem. Wprowadzi go pan w londyńskie towarzystwo. Córka państwa rozpoczyna w tym sezonie życie towarzyskie, nie myślę się chyba? — Churchill spojrzał na Lidie.

— Tak, to prawda — odpowiedziała.

— Więc przy okazji możecie państwo ubić całkiem inny interes. Orłow jest, jak wiecie, kawalerem, z pewnością stanowi świetną partię, możemy więc rozpuścić za granicą pogłoski, że przyjechał do Anglii w poszukiwaniu żony. Nic się nie stanie, jeśli rzeczywiście ją znajdzie.

— Świetny pomysł. — Nagle Walden zdał sobie sprawę, że wszystko to wprawia go w doskonały humor. Pełnił kiedyś, za czasów konserwatywnych rządów Salisbury’ego i Balfoura, funkcję półoficjalnego dyplomaty, jednak już od ośmiu lat nie uczestniczył w żadnym charakterze w polityce międzynarodowej. Teraz miał okazję pojawić się z powrotem na scenie i przypomniał sobie, jak absorbowały i fascynowały go niegdyś takie misje: otaczająca je aura tajemniczości, pokerowe zagrania podczas negocjacji, zmagania się różnych osobowości, umiejętne posługiwanie się perswazją, naciskiem, nawet groźbą wojny. Z Rosjanami, jak pamiętał, rozmowy nie były łatwe. Byli kapryśni, uparci i arogancy. Ale z Alekssem nie będzie tak źle. Kiedy Walden brał ślub z Lidią, Aleks był obecny na weselu. Dziesięcioletni brzdąc w marynarskim ubranku. Potem studiował kilka lat na uniwersytecie w Oksfordzie i odwiedzał Walden Hall podczas wakacji. Nie żył już wtedy jego ojciec i Walden poświęcał młodzieńcowi trochę więcej czasu, niż czyniłby to w normalnych okolicznościach. Zyskał dzięki temu gorącą przyjaźń młodego, obdarzonego żywym umysłem Rosjanina.

To stanowiło świetną podstawę do negocjacji. Sądzę, że jestem w stanie doprowadzić je do pomyślnego zakończenia, pomyślał. Cóż to byłby za sukces!

— Mogę zatem uważać, że pan się zgadza? — zapytał Churchill.

— Naturalnie — odparł Walden.

Lidia uniosła się z krzesła.

— Nie, proszę nie wstawać — powiedziała, kiedy mężczyźni powstali wraz z nią. — Zostawiam panów, żebyście mogli porozmawiać o polityce. Czy zostanie pan na obiedzie, panie Churchill?

— Niestety, mam pilne sprawy w mieście.

— W takim razie już teraz żegnam pana. — Podała mu rękę.

Wyszła z pokoju ośmiokątnego, gdzie zawsze pili herbatę, przecięła duży i mały hall i otworzyła drzwi do pokoju kwiatowego. W tym samym momencie jeden z pomocników ogrodnika — nie znała jego imienia — wszedł tam przez prowadzące z ogrodu drzwi z naręczem różowych i żółtych tulipanów, przeznaczonych do przystrojenia stołu przy obiedzie. Jedną z rzeczy, które Lidia pokochała w Anglii, a zwłaszcza w Walden Hall, było bogactwo kwiatów. Co rano i co wieczór zawsze ścinano dla niej świeże kwiaty, nawet w zimie, kiedy trzeba je było hodować w szklarni.

Ogrodnik dotknął czapki palcami — nie musiał jej zdejmować bez wyraźnego polecenia, ponieważ pokój kwiatowy był w zasadzie częścią ogrodu — położył kwiaty na marmurowym stole i wyszedł. Lidia usiadła i odetchnęła chłodnym, pachnącym powietrzem. To było odpowiednie miejsce do tego, żeby dojść do siebie po szoku. Rozmowa o Sankt Petersburgu wytrąciła ją z równowagi. Pamiętała Aleksego Andriejewicza ze swojego wesela jako nieśmiałego, małego, ślicznego chłopca, pamiętała również, że był to najnieszczęśliwszy dzień w jej życiu.

To z mojej strony prawdziwa perwersja, pomyślała, że właśnie z pokoju kwiatowego uczyniłam swoje sanktuarium. Ten dom miał specjalne pomieszczenia na prawie każdą okazję: w jednym pokoju jadało się śniadanie, w innym lunch, w kolejnym obiad, osobne pokoje przeznaczone były na picie herbaty, na grę w bilard, przechowywanie broni, pranie bielizny, prasowanie, robienie przetworów, czyszczenie sreber, szczotkowanie ubrań, na składowanie win i przyborów do gier... Jej własny apartament składał się z sypialni, garderoby i salonu. Mimo to, gdy potrzebowała spokoju, przychodziła właśnie tutaj. Siadała na twardym krześle i wpatrywała się w prosty kamienny zlew i żeliwne nogi, na których spoczywał marmurowy blat stołu. Zauważyła, że jej mąż ma także swoje prywatne sanktuarium: kiedy coś wyprowadziło go z równowagi, szedł do zbrojowni i tam czytał książki o polowaniach.

Aleks będzie zatem w Londynie jej gościem. Będą rozmawiać o rodzinnych stronach, o zaśnieżonych uliczkach Sankt Petersburga, o balecie i o zamachach bombowych; a ona, patrząc na Aleksa, będzie myślała o innym młodym Rosjaninie, o mężczyźnie, za którego nie wyszła kiedyś za mąż.

Dziewiętnaście lat minęło, odkąd widziała tego człowieka po raz ostatni, ale wciąż najdrobniejsza wzmianka o Sankt Petersburgu sprawiała, że stawał jej przed oczyma jak żywy, a skóra jej cierpła pod jedwabną suknią. Miał wtedy dziewiętnaście lat, tyle samo co ona: głodny, chudy jak patyk studencina z długimi, czarnymi włosami, twarzą wilka i oczyma spaniela. Miał bladą cerę, miękkie, ciemne włosy na piersiach i zręczne, bardzo zręczne ręce. Dziś jeszcze oblewała się rumieńcem, nie na myśl o nim, ale o swoim własnym, zdradzającym ją, oszalałym z rozkoszy ciele, o sromotnym krzyku, który wydierał się jej z gardła. Byłam nikczemna, myślała, i wciąż jestem nikczemna, bo nadal tego pragnę.

Poczuła się winna i pomyślała o swoim mężu. Rzadko kiedy myślała o nim bez poczucia winy. Kiedy za niego wychodziła, wcale go nie kochała, miłość przyszła dopiero później. Był człowiekiem o silnej woli i dobrym sercu i uwielbiał ją. Jego uczucie do niej było stałe, delikatne i całkowicie pozbawione desperackiej namiętności, której kiedyś doświadczyła. Był szczęśliwy tylko dlatego, myślała, ponieważ nigdy nie zaznał, że miłość może być szalona i wygłodniała.

Nie pożądam już więcej takiej miłości, powiedziała sobie, nauczyłam się bez niej żyć i przez wszystkie te lata życie stało się łatwiejsze. I tak właśnie powinno być — mam już prawie czterdzieści lat!

Niektóre z jej przyjaciółek wciąż jeszcze ulegały pokusie. Nie opowiadały jej o swoich romansach, bo czuły, że ich nie pochwała; ale plotkowały o sobie nawzajem i Lidia wiedziała, że podczas niektórych przyjęć w wiejskich rezydencjach mają miejsce liczne... powiedzmy, stosunki pozamałżeńskie. Lady Girard zwróciła się kiedyś do niej z miną doświadczonej starszej

kobiety, która udziela dobrych rad młodej gospodyni: „Moja droga, jeśli gościsz tej samej nocy wiceksiężną i Charliego Stotta, musisz umieścić ich w przylegających do siebie sypialniach”. Lidia rozlokowała ich w pokojach na dwóch przeciwnych krańcach domu i wiceksiężna już nigdy więcej nie odwiedziła Walden Hall.

Ludzie mówili, że niemoralność rozpleniła się z winy zmarłego króla, ale Lidia w to nie wierzyła. To prawda, że przyjaźnił się z Żydami i śpiewakami, ale to nie czyniło z niego jeszcze rozpustnika. Dwukrotnie gościł w Walden Hall — raz jako księżę Walii, potem jako król Edward VII — i zawsze zachowywał się bez zarzutu.

Zastanawiała się, czy odwiedzi ich kiedyś nowy panujący. Wizyta monarchy wiązała się z olbrzymimi wydatkami i napięciem, ale z drugiej strony jakąż wspaniałą rzeczą było dekorowanie domu na jego cześć, przygotowywanie najbardziej wyszukanych, jakie można sobie wyobrazić, potraw i sprawianie sobie dwunastu sukien tylko na jeden weekend. Po wizycie w Walden Hall król przyznałby im być może pożądaną przez wszystkich przywilej specjalnego *entree* do pałacu Buckingham — prawo do wjazdu podczas specjalnych okazji przez bramę ogrodową. Nie musieliby wówczas oczekiwać w kolejce wzdłuż alei The Mall wraz z dwiema setkami innych powozów.

Pomyślała o gościach, których przyjmowali tego weekendu. George był młodszym bratem Stephena; miał jego urok, ale ani trochę jego powagi. Córka George’a, Belinda, miała osiemnaście lat, tyle samo co Charlotte. Obie rozpoczynały w tym sezonie życie towarzyskie. Matka Belindy zmarła kilka lat temu i George dość szybko ożenił się ponownie. Jego druga żona Clarissa była od niego znacznie młodsza i całkiem ponętą. Urodziła mu dwóch bliźniaków. Jeden z nich odziedziczył Walden Hall po śmierci Waldena, jeżeli Lidia nie będzie miała syna. Mogłabym urodzić, pomyślała; czuję, że jestem do tego zdolna, ale po prostu na razie się na to nie zanos.

Nadeszła pora, żeby przygotować się do obiadu. Westchnęła. Czowała się wygodnie i naturalnie w swojej sukni, z luźno upiętymi włosami; teraz będzie musiała dać się pokojówce zasznurować w gorset i uczesać w wysoki kok. Mówiło się, że niektóre młode kobiety w ogóle przestały nosić gorsety. Można sobie na to pozwolić, myślała Lidia, kiedy ma się figurę jak ósemka. Ale ona była szczupła we wszystkich niewłaściwych miejscach.

Wstała i wyszła na dwór. Pomocnik ogrodnika stał przy drzewku różanym i rozmawiał z pokojówką. Lidia poznała ją. To była Annie, ładna, zmysłowa dziewczyna o pustej głowie i szerokim uśmiechu, którym obdarzała każdego, kto się akurat trafił. Stała z rękami w kieszeniach fartucha, obracając zaczerwienioną twarz ku słońcu i śmiejąc się z czegoś, co powiedział ogrodnik. To jest właśnie dziewczyna, która nie potrzebuje gorsetu, pomyślała Lidia. Annie powinna pilnować Charlotte i Belindy, bo guwernantka miała akurat wolne popołudnie.

— Annie! Gdzie są młode panienki? — zapytała ostro Lidia.

Annie przestała się uśmiechać i dygnęła.

— Nie mogę ich znaleźć, jaśnie pani.

Ogrodnik przezornie ulotnił się.

— Nie wydaje mi się, żebyś ich szukała — powiedziała Lidia. — Już cię nie ma.

— Dobrze, proszę pani.

Annie zniknęła za narożnikiem pałacu. Lidia westchnęła — z pewnością nie znajdzie tam dziewcząt, zbyt nużące byłoby jednak ponowne wzywanie jej i udzielanie reprimendy.

Przeszła przez trawnik, myśląc o rzeczach przyjemnych i swojskich, spychając Sankt Petersburg głęboko w mrok niepamięci. Ojciec Stephena, siódmy earl Walden, obsadził zachodnią część parku rododendronami i azaliami. Lidia nigdy nie miała okazji go poznać, zmarł bowiem, zanim spotkała Stephena, ale sądząc z tego, co o nim mówiono, musiał być jednym z tych, na których wielkości opierała się epoka wiktoriańska. Zasadzone przez niego krzaki obsypane były prze-

pięknymi, w pełni rozwiniętymi, kolorowymi kwiatami; bijący od nich ogień nie miał w sobie jednak wiele z wiktoriańskiego ducha. Musimy zamówić u kogoś nowy obraz przedstawiający Walden Hall, pomyślała. Poprzedni namalowano, kiedy park nie był jeszcze w pełnym rozkwicie.

Obejrzała się do tyłu, na pałac. W promieniach popołudniowego słońca szary kamień ściany frontowej wyglądał pięknie i dostojnie. W samym środku widniało wejście południowe. Oddalone skrzydło wschodnie mieściło bawialnię, kilka jadalni oraz kuchnie, spiżarnie i pralnie ciągnące się w przypadkowym zestawieniu aż po odległe stajnie. Bliżej, po stronie zachodniej, znajdował się pokój poranny, pokój ośmiokątny i w samym narożniku biblioteka. Za narożnikiem zaś sala bilardowa, zbrojownia, pokój kwiatowy Lidii, palarnia i biura posiadłości. Na piętrze sypialnie rodzinne wychodziły w większości na południe, pokoje gościnne na zachód, a pomieszczenia dla służby na niewidoczną stąd stronę północno-wschodnią. Jeszcze wyżej zaczynała się irracjonalna feeria wież, wieżyczek i mansard. Cała fasada zgodnie z najlepszymi wzorami wiktoriańskiego rokoka stanowiła zastygłą w kamieniu orgię najprzeróżniejszych ornamentów. Były tu kwiaty, motywy geometryczne i wyrzeźbione w kamieniu spirale, dalej smoki, lwy i cherubiny, blanki murów obronnych i balkony, maszty z flagami, zegary słoneczne i chimery. Lidia uwielbiała to miejsce i dziękowała losowi, że Stephens — w przeciwieństwie do wielu przedstawicieli starej arystokracji — stać było na to, by utrzymać dom w należyтым stanie.

Ujrzała Charlotte i Belinę wyłaniające się zza żywopłotu. Annie oczywiście ich nie odnalazła. Obie miały na sobie kapelusze z szerokim rondem, letnie sukienki, czarne szkolne pończochy i czarne trzewiki bez obcasów. Ponieważ Charlotte miała w tym roku zacząć bywać na balach, pozwalano jej od czasu do czasu czesać się w wysoki kok i ubierać w długą suknię do obiadu. Na ogół jednak Lidia traktowała ją jak

dziecko, którym przecież nadal była. Nie jest dobrze, gdy dzieci dojrzewają zbyt szybko. Dwie kuzynki pogrążone były w rozmowie, której tematu Lidia próżno starała się domyślić. O czym rozmyślałam, gdy miałam osiemnaście lat? — zapytała samą siebie. I wtedy stanął jej przed oczyma młody człowiek o miękkich włosach i zręcznych dłoniach. Boże, pomyślała, pozwól mi zachować moją tajemnicę.

— Czy sądzisz, że pocujemy się inaczej, kiedy zacniemy bywać w towarzystwie? — pytała Belinda.

Charlotte myślała o tym już wcześniej.

— Nie, nie sądzę.

— Będziemy wtedy dorosłe.

— Nie rozumiem, w jaki sposób przyjęcia, bale i pikniki mogą sprawić, że ktoś staje się bardziej dorosły.

— Będziemy musiały nosić gorsety.

Charlotte zachichotała.

— Czy miałaś kiedyś na sobie gorset?

— Nie, a ty?

— Przymierzałam swój w zeszłym tygodniu.

— No i co?

— Jest okropny. Nie można w nim chodzić prosto.

— Jak wyglądałaś?

Charlotte pokazała przed sobą rękami olbrzymi biust. Obie zaczęły pokładać się ze śmiechu. Charlotte podchwyciła spojrzenie matki i przybrała pokorny wyraz twarzy w oczekiwaniu reprimendy; ale mama wyglądała, jakby myślała o czym innym, i tylko uśmiechnęła się niewyraźnie, odwracając się do nich plecami.

— Mimo to będzie fajnie, zobaczysz — stwierdziła Belinda.

— Kiedy zacniemy chodzić na bale? No, może — z powątpiewaniem odparła Charlotte. — Ale o co w tym wszystkim chodzi?

— O to, żeby spotkać odpowiednich młodych ludzi, oczywiście.